

Drapieżcy

(ciąg dalszy z poprzedniego numeru)

Rozdział II CZERWIEC

Prześlągnięte poszycie oddawało każdy wilczy krok mokrym klaskaniem. Basior nie zważał na czyniony hałas, szukając w truchcie rozgrzewki. Ruch, słońce i pożywienie – oto czego potrzebował, by wrócić do jakiejś takiej formy. Tymczasowo jednak zadowolić się musiał samym ruchem.

Biegł wzdłuż jeziora, choć w pewnym oddaleniu. Powietrze rozbrzmiewało coraz śmielszymi śpiewami ptaków. Słyszał trele kosa, nawoływania dzwońców i czyżyków. Burza bezpowrotnie minęła. Także ustał deszcz. Niebo jaśniało od wschodu, zapowiadając pogodny dzień.

Wkrótce nos zawiódł go w rejon mszaru. Wydawało mu się, że zwierzył sarnę. Co prawda zapach był nikły, momentami ledwo wyczuwalny. Ale nadziei nie tracił.

Resztki kropel ściekających z sosen opalizowały ciepłym blaskiem. W promieniach wstającego słońca lśniły również mokre pnie uschniętych drzew. Dołem, pośród kęp torfowca, płożył się ciemnozielony krzew bagna oraz przekwitły wiecheć wełnianki.

Wtem niespodziewanie zza pleców wilka rozległ się łopot i niedaleko przed jego nosem wylądował, a właściwie upadł żuraw. Zaskoczony basior chwilę przyglądał się ptakowi jakby z niedowierzaniem. Wreszcie, stuliwszy uszy, dwoma susami pokonał dzielącą ich odległość. Lecz już rozwarły pysk chwycił powietrze, nie ptaka. Żuraw w ostatniej chwili umknął lądując kawałek dalej. Nie zrażony tym wilk ponowił atak, a niedoszła ofiara znów zdążyła ująć w bok – ni to biegnąc, ni lecąc.

Zdumienie szarego włóczęgi wzrosło jeszcze bardziej. Wszystko wskazywało na to, że ptak jest ranny. Stąpał ciężko, nienaturalnie wymachując skrzydłami, ale dogonić się nie dawał. Ponawiane próby schwywania uciekiniera wciąż kończyły się fiaskiem. Jednak stropienie wilka sięgnęło zenitu dopiero po jedenastym albo dwunastym zrywie, gdy niby niedomagający żuraw raptem wzbił się do lotu i zatoczywszy nad głową ścigającego obszerne koło, z triumfalnym okrzykiem poszybował w głąb mszaru. Dobra chwila minęła, nim ostatecznie pojął, że został oszukany. Z kącików wilczego pyska ściekała ślina. Już prawie uwierzył w sukces. Zziajany i podniecony wrócił własnym tropem do punktu wyjścia. Doświadczenie podpowiadało, że tego rodzaju manewry musiały mieć ukryty cel. Najprawdopodobniej ochronę gniazda. Niepotrzebnie dał się zwieść gorączce pościgu za pozornie łatwym łupem. Węszył długo z nosem przy ziemi, nasłuchując i zataczając nieregularne kręgi. Niestety, nie trafił na młode. Lecz nagroda łowcy nie ominęła. Obok tropu żurawia znalazł martwą żmiję. Zapewne upolowaną przez ptaka, który zdążył jej odrąbać ostrym dziobem głowę. Zdobycz teraz należała do niego. Zadowolony się zygzakowato ubarwionym gadem zrezygnował z poszukiwania piskląt. Zapomniał też o sarnie.

Niebawem opuścił mszar. Strudzony długim truchtem chciał odpocząć. Okazja ku temu nadarzyła się, gdy stanął na skraju polany. Przedtem jednak pomyszkował trochę wzdłuż jej obrzeża. A upewniwszy się o bezpieczeństwie, z zadowoleniem legł pośród traw. Wreszcie słońce mogło rozgrzać obolałe kości. I komary tak tu nie dokuczały.

Krótką drzemkę przerwał jakiś chrobot spod ziemi. Wilk czujnie uniósł głowę i wstał. Delikatnie stąpając obwąchał pobliski teren. Uszy i nos nie myliły. Pod darnią rył kret. O jego obecności świadczył także świeży kopiec niedaleko lipy. Podekscytowany basior przesunął się wzdłuż podziemnej trasy kreta, licząc na to, że ten, w którymś momencie wypełźnie na powierzchnię. Innej

szansy pochwycenia ofiary we miał. Bowiem kopanie odpadało. Już się swego czasu przekonał. Warstwa darni stawia za duży opór. A jeśli nawet w miarę szybko zdoła ją przeryć, malec i tak umknie głębiej. Łopatowate nogi przednie małego kopacza szurały niestrudzenie. System podziemnych korytarzy w tym miejscu rozgałęział się i chrobot na moment ustał. Wilk w rozterce stanął między najbliższymi kopcami, Wiedział, że kret wkrótce ruszy. A mijając któryś z kopców wypchnie ziemię pionowym tunelem w górę. To będzie ów czas, którego nie powinien przegapić. Jedyna chwila, gdy kopacz, choć nadal niewidoczny, może być osiągalny.

Chrobot tym razem jednoznacznie wskazywał kierunek marszu kreta. Z podniecenia tracący już cierpliwość basior zajął pozycję przy najbliższym kopcu. I stało się tak, jak przypuszczał. Drgnęła spulchniona ziemia, a wkrótce szczyt kopca od środka rozepchnęły luźne grudy. Wilk począł gwałtownie przebierać przednimi łapami. Pierwsze zagarnięcia oraz błyskawicznie wbity w tunel nos przyniosły skutek: chwycony siekaczami kret wyleciał w powietrze. Gdy upadł na trawę daremną się okazała jego próba natychmiastowej ucieczki w głąb. Zdążył wprawdzie wyrwać długimi pazurami spory otwór, lecz prześladowca jednym kłapnięciem szczęk dokończył dzieła. Naturalnie przekąska o aksamitnoczarnym futerku czy wcześniej pozyskana żmija nie mogły zadowolić wilczego żołądka. Ale przynajmniej dał sokom trawiennym jakieś zajęcie. Basior tymczasem na powrót mościł się w słońcu. Zapoluje wieczorem. Zbyt kusząco działały teraz ożywcze promienie. Pragnął wygrzać boki i przegonić reumatyczne bóle łap.

Okręciwszy się kilkakrotnie w miejscu spoczął wreszcie wśród wygniecionych traw. Ciepło promieni wysoko już stojącego słońca wzbudzało uczucie błogości. Usnął niemal natychmiast, jeszcze chwilę wodząc wzrokiem za fruującymi motylami. Seria niczym nie zakłóconych drzemek potrwała do zmierzchu. Bładoniebieskie niebo czerwieniało na zachodzie, ucichłyienne ptaki. Dookoła polany zaczął krążyć borowiec wielki, którego prostoliniowy lot co rusz przechodził w gwałtowne nurkowanie. Wznosząc się tak mocno rozciągał wąskie skrzydła, że ich końce prawie stykały się pod brzuchem. Wilk odruchowo kłapnął zębami, gdy nietoperz w pogoni za owadem przemknął nad jego głową. Nie biegł szybko. Chwilami zatrzymywał się i wietrzył. Obcy teren przesycił rozmaite wonie, jednak żadna nie niosła konkretnych obietnic. Również tropy zapachowe ściółki rozczarowywały. Pośród ścieżek myszy wyczuwał obecność kun i dzików. Także ślady działalności puchacza. Oraz jeszcze czegoś, co natychmiast wytrąciło z równowagi. Resztek po niedawnej uczcie lisa. Bez trudu rozpoznał zapach dużego ptaka - była nim gęś hodowlana. Jej rozrzucone pióra nadal znaczyły nieprzyjemne ślady woni człowieka. Lis przywłókł swoją ofiarę od północy, spoza lasu. Oba zapachy - lisa i człowieka, mniej więcej w równym stopniu drażniły wilka. Choć z odmiennych przyczyn. Ale nie obwąchiwał znaleźziska dłużej. Tylnymi łapami energicznie rozgrzebał ściółkę, oddał mocz i ruszył przed siebie.

Las mieszany przerzedził się. Trasa wschodnia wciąż prowadziła wzdłuż jeziora. Basior zwolnił i przysiadł na nieco odsłoniętym wzgórku. Uważnie wietrząc przy okazji spojrział w niebo. Jedna po drugiej zapalały się gwiazdy. Trochę dalej ujrzał rozciągniętą, słabo świecąca smugę oraz powstający nad ciemnymi koronami księżyc. Widok ten ożywił w nim niejasne wspomnienie stada. Zagrała tęsknota. Wyciągnął ku górze szyję i półrozwartą pysk omal nie opuściło wycie. Ledwo stłumione w ostatniej chwili.

Okrażanie jeziora zajęło mu siedem dni. Wędrował wyłącznie nocą, wiedziony węchem i słuchem. Wiedziony i zwodzony. Gdyż polowania szły kiepsko. Tropiona zwierzyna uchodziła nim zdążył do niej się zbliżyć. Nawet ostatnia, najbardziej obiecująca pogoń za chorą sarną nie dała nic. Musiał poprzestać na drobnych łupach i to zdobywanych przypadkiem. Głód osłabiał go coraz bardziej, a i ścisk w brzuchu dokuczał wręcz nieznośnie. Dlatego z nadzieją podniósł wzrok, gdy usłyszał w brzożowym zagajniku niezwykajnie nasilone odgłosy. Usłyszał coś, nie zwietrzył, bowiem obiecujący rozgwar dobiegał spoza linii wiatru. Las sosnowy w tym rejonie przerzedzał się ustępując pola gęstym krzewom. Ostrożnie skręcił, by zbliżyć się do brzoż od zawietrznej. Jednak podchód

okazał się niepotrzebny. Pojął w czym rzecz natychmiast dzięki nozdrzom. Gwałtownie wezbrała w pysku ślina. Powiew przyniósł feerię zapachów. Przede wszystkim świeżego mięsa i krwi.

Rażniej ruszył między brzozy, z podniecenia machając ogonem. Nasilona woń, a także wzlatające kruki utwierdziły wilka w przypuszczeniach. Rozbierano jakąś ofiarę. Prawdopodobnie dzika. Musi się spieszyć, jeśli chce coś dla siebie uszczknąć. A chciał bardzo.

Z ziemi opieszale zerwał się myszołów. Podniosły krzyk sójki i sikory. Również krukowi nie spodobało się nadciągnięcie kolejnego amatora resztek. Lecz protesty skrzydlatych padlinożerców nie uczyniły na basiorze żadnego wrażenia. Przypadł do kości, łapczywie pracując łamaczami. Ofiarą okazał się młody dzik. Zginął poprzedniego dnia, uduszony samozaciskającą się pętlą z drutu. Nikły ślad zapachowy człowieka dotąd błąkał się pośród silniejszych woni. Najmocniej jednak zaznaczyły swoją obecność tchórze, jenoty, kuny oraz lisy. Intensywna uczta musiała trwać całą noc, bo z dzika pozostał praktycznie szkielet. Czego zaś nie rozparcelowały inne, czworonogi, tym od świtu zajęły się ptaki.

Jedynie z żebrami nie miał kłopotu. Zmiażdżone po kawałku szybko wypełniły żołądek. Próbował później coś jeszcze odzyskać z głowy, lecz ogryziona była do samej kości, jeśli nie liczyć fragmentów skóry przy czaszce. W dwóch miejscach rozgryzł kręgosłup. Połamał też kości nóg, dobierając się do szpiku. W sumie najeść się może nie najadł, ale przynajmniej uspokoił dojmujące ssanie w brzuchu.

Skrzydłata czereda tylko czekała na jego odejście. Obejrzał się między brzozami, jakby żałując pozostawionych szczątków. Ogryziony dokładnie łeb, racice, trochę kości oraz szczecina – doprawdy, nie było się czym podniecać. A jednak ptasie bójki świadczyły o czymś przeciwnym. Wilk, zбитy z tropu obserwowanym rozgorączkowaniem, chwilę jeszcze zwłóczył. Wreszcie otrząsnął się i ruszył w swoją stronę. Słońce wstawało coraz wyżej, z trudem tu i ówdzie przedzierając się przez korony drzew. Gdzieś w pobliżu niosło nawoływanie drozda, śpiewał rudzik. Basior parł truchtem, uważnie wietrząc. Męczyło go pragnienie. Właśnie wyczuł wodę od północnej strony. A po chwili usłyszał. Chłęptanie. sprawiało mu przyjemność. Pił długo, stojąc obrócony pyskiem pod prąd strumyka. Przy okazji chłód rzeźwił obolałe łapy. Teraz warto rozejrzeć się za jakimś legowiskiem. Jednak nie tu, gdzie od poszycia ciągnęła wilgoć.

Wkrótce teren wydał mu się znajomy. Biegł dalej. Za pasmem głogów i berberysów, w miejscach prześwietlonych, kwitły jeżyny. Tam zaczynał się świeży bór, poprzerastany u podłoża wielką paprocią i widłakiem. A nieco głębiej, na łagodnych pagórkach, znajoma ostoja w gęstych krzewach jałowców. Tego właśnie potrzebował i tu spoczął. W miejscu suchym, dobrze osłoniętym, bezpiecznym. Lecz sen, mimo zmęczenia, nadejść nie chciał. Dręczyły bolesne skurcze żołądka, któremu nie posłużyła tak duża jednorazowa porcja twardej strawy. Basior kręcił się w kółko, co rusz zmieniając pozycję. Dopiero gdzieś po godzinie sensacje żołądkowe nieco zelżały i wreszcie się zdrzemnął. Budził się i na powrót zasypiał kilkakrotnie. Nic nie zakłócało spokoju. Bliżej południa ptaki ucichły, ustał też wiatr. Tym bardziej zaskoczyło nagłe spotkanie z lisem. Drzemał jeszcze, gdy rudzielec, nie zwęszywszy wilka, niemal wdepnął w jego legowisko. Obaj byli zdetonowani. Obaj w pierwszym momencie zdrętwieli. Lis z przerażenia, wilk z wściekłości. Pierwszy ocknął się, na szczęście dla niego, lis. Gdyby basior akurat nie leżał, już byłoby po nim.

Gonitwa trwała prawie kwadrans. Lis kluczył sobie znanymi ścieżkami, wiodąc prześladowcę na moczary, a potem wśród gęstych krzewów, gdzie w końcu wilk ugrzązł. Zziąjany, wyczerpany, ale nadal wściekły. Jednak pojął, że umykającego nie dosięgnie. Przynajmniej nie tym razem. Ciężko usiadł, by odsapnąć. Pogoń zawiodła go aż w okolicę zatoki. Z wywieszonym językiem przyglądał się poznanym przed paroma dniami miejscom. Pamiętał, że wystarczy przekroczyć południową linię drzew i za nią odnajdzie wielką wodę. Wkrótce ruszył tam, chcąc zaspokoić wzmożone intensywnym biegiem pragnienie.

Widok zdumiał basiora podobnie jak za pierwszym razem. Napił się i legł z pyskiem na łapach, tuż przy niewysokiej krawędzi brzegu, wpatrzony w dal. Tym razem kaczek, w labiryncie przybrzeżnych kanałów nie było. Wszystkie wymiotło na środek zatoki, między grązele. Najbliżej żerowały czernice i cyranki. Trochę z boku krzyżówki, trawce oraz gęsi gęgawy. A jeszcze dalej, bo przy trzcinach, łyski z młodymi. Te mógłby podejść, wchodząc na wschodni cypel. Jednak byłby dostrzeżony znacznie wcześniej. Wiedział o tym i nawet nie próbował. W powietrzu też trwał ożywiony ruch. Za owadami uganiały się jaskółki, nad wodą zawisały rybitwy poszukujące drobnych rybek. Rybi drobiazg kręcił się także pod samym nosem wilka, niecałe pół metra niżej. Przyglądał się małym rybkom dobrą chwilę i już zamierzał odejść, gdy jego wzrok przykuł wolno sunący cień. Początkowo przypuszczał, że to jakiś grubszy kij leżący między roślinami. Lecz kije nie zwykły poruszać się samodzielnie. Zafascynowany odkryciem pozostał na miejscu. Ów niby kij niebawem ponownie drgnął. Teraz wszelkie wątpliwości prysnęły. Przy dnie, korzystając z zielonej osłony, czaiła się spora ryba! Basior odruchowo przełknął ślinę, nie bardzo wiedząc, co począć. Nie pogardziłby taką sztuką. Lecz doświadczenie podpowiadało, że byle ruch natychmiast ją wypłoszy. Trwał w rozterce jakiś czas, gdy rozwiązanie nadeszło samo. Dotąd ospale poruszający się cień przyspieszył i z rozwartym pyskiem zaatakował narybek. Srebrzysta gromadka umknęła w przeciwnym kierunku, czyli prosto w jeden z przybrzeżnych rowów. Ścigający pomknął za nimi, nie bacząc, że rów jest ślepy. A może właśnie dlatego. Dla basiora nie miało to znaczenia. Zadowolony był, że ryba sama niechcący weszła w pułapkę. Zdążył rozpoznać szczupaka. Już niegdyś, w swoich stronach, podobne ścigał. Co prawda w czasie tarła, gdy bez specjalnej nagonki masowo pchały się na płycizny. Wspaniałe w smaku kąski. Dotąd pamiętał ich smak.

Wystarczyło zeskoczyć do rowu, co też prędko zrobił. Ryba, zorientowawszy się, że drogę ucieczki ma odciętą, szalała w panice. Drobiazg dawno przemknął bokami, ale na dwukilogramowego szczupaka przyszedł kres. Spróbował jeszcze desperackim skokiem zanurkować między łapami wilka, lecz ten szybkim uderzeniem szczęk przetrącił ofierze kręgosłup.

Stał nieruchomo za sosną, przyglądając się ptakom wokół mrowiska. Odleciał kos. Na jego miejscu wylądowała zięba. Także i ona żwawo płasała. Lecz było coś nienaturalnego w zachowaniu się ptaszka. Pośród otrząsań i skoków unosił czasem półrozwarte skrzydło, wsuwał pod nie dziób i tarł nim, by w chwilę później powtórzyć ową czynność z drugiej strony. Nie zażywał piaskowej kąpieli, nie był też ranny. A zatem co robił? Zastanawiało to basiora. Pojawszy jednak, że wędrujące w pobliżu mrowiska ptaki są zdrowe, czyli nieuchwytnie, zainteresowanie nimi stracił.

Kilka minut truchtu dalej wyostrzony głodem węch zatrzymał wilka pod jałowcem. Wokół krzewu wiódł dosyć świeży trop jeża. Ruszył nim, odkrywając wkrótce ślady małej uczyty. Tropionemu trafiło się gniazdo z dwoma jajami, po których zostały jedynie szczątki zabrudzonych skorupki. Basior łakomie przełknął ślinę. Nigdy nie wzgardził podobnym kąskiem, jeśli tylko okazja się nadarzyła. Cóż, obecnie musiał obejść się smakiem.

Jeża zgubił między zwalonymi świerkami. Przeważały tu wonie leśnych myszy. Nawet jedną prawie chwycił, lecz umknęła pod pień. Rozgrzebywanie ściółki nic nie dało. Uważnie obszedł leżące drzewa. Kolejny gryzoń pokazał mu ogon. Znów nie zdążył. Rozdrażnienie wilka rosło. Minionej nocy w poszukiwaniu pokarmu przebiegł kilkanaście kilometrów. I poza miniaturowym pisklęciem gila wpadła mu w zęby tylko nornica. Tym zadowolić żołądka nie mógł. A większe ofiary uchodziły jeszcze szybciej od drobnych.

Coś zaszeleściło w poszyciu. Odruchowo podskoczył i chwycił siekaczami, natychmiast wypuszczając. Zdobycz cuchnęła piżmem. Wziął ryjówkę aksamitną za mysz. Pomyłka tym bardziej przykra, że pozostawiająca niesmak w pysku.

Opuścił suchy las. Łaskawsze okazały się moczary. Wprawdzie i tam nie upolował nic większego, ale

przynajmniej spróbował oszukać głód mikroskopijnymi żabkami. Niedawno przeobrażone z kijanek maleństwa taplały się w płytkich bajorkach. Część z nich wyległa na zewnątrz. Wystarczyło zbierać. Bez pośpiechu, sztuka po sztuce. Co też czynił, nie bacząc początkowo na komary. Jednak nasilające się ataki krwio pijących owadów wciąż skuteczniej zniechęcały drapieżnika. A gdy rój zgęstniał w chmurę, wilkowi nie pozostało nic innego, prócz ucieczki. Po prostu czmychnął. Z pokłutymi wargami spoczął między kruszyną a głogiem, z dala od podmokłych terenów. Wystarczyło położenie głowy na łapach. Oczy zamknęły się same. Ledwo przysnął, ujrzał od lat prześladowający obraz w scenerii zimowej. Biegnie kopnym śniegiem. Z tyłu hałas, nawoływania ludzi. Trasę ucieczki zagradzają groźnie powiewające czerwone szmaty. Długi ich rząd między drzewami. Ścigające głosy zbliżają się. Nie może zawrócić. Skręca w lukę obok zwieszonych szmat. I wówczas pierś przeszywa ostry ból. Jednocześnie widzi błysk. Ogłuszający huk.

Ocknął się ze zjezoną na karku sierścią. Hałasował u góry zielony dzięcioł, którego jeszcze przed chwilą nie było. Uspokojony okręcił się wokół własnej osi i z powrotem legł. Podpuchnięte wargi nadal swędziały. Oblizując je znów usnął. Zasnął i budził się kilkakrotnie w ciągu dnia. Znużone mięśnie odpoczęły. Za to wzrosło ssanie żołądka. Rozprostował kości i chwilę wietrzył z wysoko uniesioną głową. Owszem, powiew niósł zapachy. Lecz w sumie nic takiego, czym byłby rad zainteresować się bliżej.

Zmierzchało, gdy stanął na północnym skraju lasu. Torfowiska nieodmiennie nęciły zajęcami. Wciąż tam się czuło ich obecność. Otwarta przestrzeń ułatwiała wypatrzenie ofiar. Lecz i ofiary pręcej wypatrywały prześladowców. A wzajemne przechytrzenie się na ogół przynosiło remis. Chyba że wilk zaskoczył szaraka. Zwłaszcza młodego. Zaskoczył, nie zwęszył, bowiem młodociane zajęce, w odróżnieniu od dorosłych, w ogóle nie miały zapachu.

Basior, licząc na traf, kluczył pod wiatr. Co jakiś czas pryskały wypłoszone dorosłe szaraki. Nie podejmował pościgu. Za to pilniej penetrował ów rejon. Jednak szczęście mu nie dopisało. I choć obecność młodych zajęcy była oczywista, nie ujrzał żadnego.

Szarówka przechodziła w mrok. Z furkotem wzbił się wypłoszony bekas. Od lasu niesło pohukiwanie puszczyka. Gdzieś w dali monotonnie rechotały żaby. Już chciał opuścić torfowisko, gdy między owe głosy raptem wdarło się poszczekiwanie psa, zapalczywe i dosyć bliskie. Wilk stęzał, intensywnie wietrząc. Niebawem nozdrza rozpoznały dwa nowe zapachy: prócz psiego wyłowił również woń lisa. Natychmiast pojął w czym rzecz. Trwała pogoń. Rudzielec umykał od strony zabudowań na północnym skraju torfowisk. Gratka nie lada. Zrazu chciał przeciąć linię pościgu, ale szybko się zreflektował. Niechaj uciekinier pociągnie psa w las. Lepiej odciąć powrót. Lis i tak umknie, a ścigający nie odważy się wbiec między drzewa. Zwłaszcza o tej porze. Przywarł do turzycy gotowy do skoku. Wyczekać. Jeszcze trochę. Właśnie nadciągający lis przemknął trzy metry obok i gwałtownym zakosem zбочzył na południowy zachód. Tuż za nim kundel. Zziąjany, powoli zwalnający. Trudno było o poręczniejszą okazję. Wilk wykorzystał zaskoczenie, lecz nie do końca. Przy drugim susie tylna łapa omsknęła się na mchu. Straciwszy równowagę uderzył atakowanego całym ciałem, miast chwycić za gardło. Obaj przekoziółkowali. Mniejszy i bardziej zwinny kundel pozbił się pierwszy. Śmiertelne przerażenie dodało mu sił. Tymczasem lis, nawet nie interesując się zamieszaniem z tyłu, czmychnął.

Nadrobiona przewaga dystansu kundla malała. Próbował obszernym łukiem wrócić ku zabudowaniom. Basior z kolei zabiegał drogę, usiłując skierować zdobycz w las. W sumie pościg wiódł wzdłuż południowego obrzeża torfowisk, co również odpowiadało ścigającemu. Czuł, że ofiara jest zmęczona i wkrótce ją dopadnie. Pies dyszał coraz ciężiej. Ponownie nagłym zwrotem uszedł szczękom prześladowcy, tracąc jedynie pęk sierści z barku. Ale koniec nadciągał. Mdląły łapy, brakowało oddechu. Potknął się raz i drugi. Trzeciego zachwiania ofiary wilk już nie przegapił. Pozostający dotąd o pół skoku z tyłu, wpadł na psa i przygniół go przednimi łapami. Impet zderzenia

pomógł wydostać się ofierze spod ciała drapieżnika, lecz nie na tyle, by uniknąć zacisku szczęk na gardle. Duszony miotał się bezsilnie. Agonię przedłużała sztywna obroża. Bezpieczeństwo nakazywało opuszczenie otwartej przestrzeni. Znieruchomiałą zdobycz zawlókł między drzewa i dopiero tam rozerwał jej brzuch. Napływająca ślina mieszała się z krwią. Łapczywie łykał wyszarpywane wnętrzności.

Lech M. Jakób

Dalszy ciąg wilczego wątku powieści Lecha M. Jakóba „Drapieżcy” ukaże się w kolejnym numerze „Dzielnego Życia”